

– Czy dla poszukiwań przez fizyka naukowej prawdy ma znaczenie, że jest on człowiekiem wierzącym? – pytam prof. Andrzeja Staruszkiewicza.

– W codziennej pracy fizyka jego stosunek do wiary nie ma znaczenia. Ale patrząc na historię, dostrzegamy, że zachodnia nauka – a to ona stworzyła naszą potężną cywilizację – wyrasta z chrześcijaństwa. To, że nauka powstała w jego obrębie, nie jest przy-

padkiem. Izaak Newton był człowiekiem wiary. Kartezjusz też. I inni. Einstein nazywał swojego Boga Bogiem Spinozy i uważał, że świat jest dziełem bezosobowej myśli. Ten świat oglądany oczami fizyka ma pewną własność. Ona polega na tym, że nasze myślenie potrafi ująć rzeczywistość. I tu pojawia się Bóg – osobowy czy bezosobowy – ale Bóg, rozumiany jako pierwotna myśl – mówi profesor.

## STO TRZYDZIEŚCI SIEDEM

– Wybraliśmy się w czwórkę samochodem prof. Andrzeja Fulińskiego z Krakowa do San Remo, na uroczystości z okazji 150. rocznicy śmierci Alfreda Nobla, w 1983 roku. Oprócz kierowcy jechał prof. Adam Strzałkowski, prof. Lucjan Jarczyk i ja – mówi prof. Andrzej Staruszkiewicz. – Fuliński jest pasjonatem sztuki, a więc z góry miał przygotowany rozległy plan zwiedzania. Zapytałem: Czy to jest konieczne? Przecież wszystko można zobaczyć na fotografii, gdzie każdy obiekt zawsze lepiej wygląda. Zbył moją uwagę milczeniem. Zatrzymując się w różnych miejscach po drodze, dojechaliśmy do Rawenny, gdzie poszliśmy do mauzoleum Galii Placidii z V wieku, słynącego wspaniałymi mozaikami wykonanymi przez bizantyjskich rzemieślników. W mauzoleum panuje mrok. Andrzej Fuliński objaśniał nam symbole czterech ewangelistów na kopule – jest to lew św. Marka, byk św. Łukasza, orzeł św. Jana i człowiek św. Mateusza, aż w końcu powiedział: Te mozaiki mają wspaniałe kolory, ale można je zobaczyć tylko na fotografii. W tym momencie ugryzł się w język, bo przecież ja mu to mówiłem od samego początku.

### LWÓW

Może dlatego, że profesor nie lubi zwiedzać miast, zamków, galerii obrazów ani cudów przyrody, nigdy nie pojechał do Lwowa? A może przyczyna była inna? Aby nie wracać tam, skąd lwowiaczy zostali usunięci siłą, nie spoglądać na domy, pomniki i kościoły – niby te same, a już inne, obleczone w obcą z ducha oprawę nie tej co kiedyś muzyki, nie tego języka, oprawę wykrzywioną, koślawą, naznaczoną odpadającymi tynkami... Nie wracać i nie dokonywać w pamięci żadnych zmian. Jak to było kiedyś – tak niech już zostanie.

Chociaż Andrzej Staruszkiewicz nigdy we Lwowie nie był ani tam nie mieszkał, zawsze wiedział, że jest stamtąd. Z miasta,

które w opowieściach rodziny błyszczało kopułami świątyń, fascynowało atmosferą intelektualnej różnorodności, miało rozmach i siłę bogatego ośrodka wyrosłego na skrzyżowaniu szlaków handlowych i kultur. Ciocia Oktawia, zwana w rodzinie Tawcią, urodzona lwowianka, zawsze mówiła, że w Krakowie wszystko jest

takie samo jak we Lwowie, tylko mniejsze i brudniejsze. Ciekawe, że opinię cioci Tawci podzielał niemiecki feldmarszałek August von Mackensen, który w czasie pierwszej wojny przechodził zarówno przez Kraków, jak i przez Lwów. W swoich wspomnieniach wojennych feldmarszałek Mackensen uznał Lwów za „prawdziwie niemieckie miasto”, a Kraków za „typowo polską brudną dziurę”.

A więc Lwów... Na cmentarzu Łyczakowskim, jednym z najpiękniejszych w Europie (a może najpiękniejszym), w rodzinnym grobowcu, pozostał dziadek, Józef Staruszkiewicz, przed pierwszą wojną naczelnik wydziału personalnego Izby Skarbowej we Lwowie. I jego najstarszy syn, Tadeusz, który zmarł, mając zaledwie dwanaście lat. Po chłopcu zachowało się zdjęcie. Ma na nim bardzo smutną twarz. Może chorował? A po dziadku Józefie z kolei zachowały się jego świadectwa szkolne. W gimnazjach galicyjskich podawano

lokaty. Józef Staruszkiewicz zawsze był prymusem. Pierwszy z trzydziestu dwóch, pierwszy z dwudziestu ośmiu, pierwszy z trzydziestu sześciu... Do wszystkiego, co w życiu osiągnął (w galicyjskiej hierarchii urzędniczej doszedł do stopnia rady, tylko jeden szczebel dzielił go od tytułu ekscelencji), doszedł o własnych siłach. On, syn kowala Łukasza Staruszkiewicza z miasteczka Felsztyn (obecnie obwód chmielnicki na Ukrainie).

Józef ożenił się z Julią. Do rodzinnej legendy babcia Julia trafiła jako osoba ekscentryczna, despotyczna, gwałtowna w reakcjach, hojna dla obcych, dla Kościoła zwłaszcza, a skąpa dla najbliższych. Rodzina była bardzo dobrze sytuowana, we Lwowie



Prof. Andrzej Staruszkiewicz

A. Kobos

mieszkali we własnej kamienicy przy ulicy Wyspiańskiego 23. Ale kiedy syn Franciszek po studiach historycznych i obronie pracy doktorskiej u prof. Marcellego Handelsmana na Uniwersytecie Warszawskim (na swoje utrzymanie w czasie studiów zarabiał jako poborca podatków) otrzymał od Handelsmana propozycję kontynuowania pracy naukowej i wyjazdu do Paryża po materiały na temat Wielkiej Emigracji – napotkał na sprzeciw ze strony matki. Pieniądzy nie da!

A więc Franciszek Staruszkiewicz zamiast do Paryża pojechał do Bydgoszczy. Rozpoczął pracę jako nauczyciel historii w tamtejszym liceum. Ożenił się z Salomeą Lewandowską, nauczycielką filologii klasycznej. Zamieszkali w pięknym mieszkaniu. Ale w ostatnich dniach sierpnia 1939 roku, kiedy już było wiadomo, że wojna wybuchnie lada moment, Staruszkiewiczowie spakowali w pośpiechu, co się dało zabrać (potem sprzedawali to futro, to biżuterię) i wyjechali z Bydgoszczy do Deszna koło Rymanowa-Zdroju, bardzo modnego przed pierwszą wojną uzdrowiska, gdzie dziadek Józef w 1912 roku wybudował letni dom. Rozpoznawalni jako polscy patrioci, mogli się od niemieckiej mniejszości w Bydgoszczy spodziewać najgorszego. W trzecim dniu wojny niemieccy dywersanci podjęli próbę zbrojnego opanowania miasta. W czasie okupacji Niemcy zamordowali tu, na miejscu, 37 tysięcy Polaków, w tym wielu nauczycieli, lekarzy, profesorów, prawie dwa razy tyle trafiło do obozów koncentracyjnych, głównie do Stuthoffu. Trzeba było z tego miasta uciekać.

W styczniu 1940 roku miało się im urodzić dziecko.

## DESZNO

Letni dom, nieogrzewany, dziadek Józef zbudował w bezpośrednim sąsiedztwie miejsca, gdzie wcześniej stała łemkowska chałupa, w której dwa razy zatrzymał się z rodziną Stanisław Wyspiański. Przyjeżdżał do Rymanowa-Zdroju na leczenie. Powstałe w tym czasie *Wiersze rymanowskie* to, zdaniem prof. Staruszkiewicza, najpiękniejsze wiersze Wyspiańskiego. Dziadek nazwał dom „Zaosiem” – na pamiątkę miejsca narodzin Mickiewicza. Było gdzie się zatrzymać. Przecież nie na długó, myśleli wtedy Staruszkiewiczowie. Kto we wrześniu 1939 roku mógł przypuszczać, że wojna potrwa pięć lat!

W „Zaosiu” urodził się Andrzej Staruszkiewicz. W najbliższej okolicy drugiego takiego dużego domu z dziesięcioma pokojami wtedy nie było. Na początku wojny w kilku pokojach Niemcy postanowili ulokować wykwaterowany z Krakowa dom starców. Aby to było możliwe, miejscowi chłopcy wymurowali tam piece techniką tak prymitywną, że potem, kiedy przyszło te piece rozbierać, wyjmowało się ręką kamień po kamieniu – i tyle.

W czasie okupacji aprowizacją tego domu starców, który w istocie był tylko umieralnią, zajmowała się pani Szczepańska, bardzo przystojna kobieta, która z racji swoich służbowych obowiązków, a może nie tylko z tego powodu, miewała częste kontakty z Niemcami. Będąc w Desznie, zawsze nocowała w domu Staruszkiewiczów. Jednego dnia, pod koniec wojny, kuzyn Andrzeja Staruszkiewicza (o wiele lat od niego starszy) zauważył, że coś z góry zaczęło kapać. To była krew. Polskie podziemie wykonało na pani Szczepańskiej wyrok śmierci. Rozkład pokoi dobrze znali, bo tutaj właśnie, w jednym z nich, spotykali się dowódcy miejscowej komórki AK. Jednego razu zostawili na widocznym miejscu pistolet. A tu wpadają Niemcy, rewizja! Przestraszona pani Salomea Staruszkiewiczowa wsunęła ten zapomniany pi-

stolet pod pieluszkę swojego maleńkiego syna. Dzisiaj profesor żartuje, że to było jego uczestnictwo w ruchu oporu!

Deszno zostało obecnie wchłonięte przez uzdrowisko. Ale nadal jest tu spokojnie, dom stoi pod lasem, na uboczu. Wieczorami po strychu biegają popielice, a może inne nieduże zwierzęta. Wysznięte deski i cały strych działają jak pudło rezonansowe. Profesor nie jest człowiekiem strachliwym, ale mówi, że w takich momentach czuje się nieswojo. Przypominają mu się ci wszyscy, którzy w tym domu umarli, a więc babcia Julia, pani Szczepańska, jej nieszczęśni podopieczni...

## BYDGOSZCZ

Zimą 1945 roku, jeszcze trwały działania wojenne, Salomea Staruszkiewiczowa zabrała ze sobą pięcioletniego malca do Bydgoszczy. Rano byli po jednej stronie frontu, wieczorem po drugiej. Ojca z nimi nie było. Już było wiadomo, że jest nieuleczalnie chory na stwardnienie rozsiane.

Kiedy pani Salomea dotarła do Bydgoszczy i zobaczyła, że ich dom stoi, kiedy weszła do swojego mieszkania, zastała w nim rosyjskiego żołnierza, który właśnie zaczął rąbać bibliotekę, aby nią rozpaść w piecu.

– Nielzja! – powiedziała do niego.

Przerwał rąbanie. Tę bibliotekę z odrąbanym kawałkiem profesora zapamiętał z mieszkania rodziców w Bydgoszczy.

Przedwojennego mieszkania rodzinie nie udało się odzyskać, powracający do miasta nauczyciele otrzymali inne locum, pięciopokojowe. Ale wtedy na obywatela przypadało 10 metrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej (bez kuchni i przynależności). Staruszkiewiczom przydzielono tylko dwa pokoje. Do trzeciego udało się im sprowadzić kuzynkę mamy. Dwa pozostałe zajęli dokwaterowani obcy ludzie. Kuchnia, łazienka, przedpokój były wspólne.

– Lepsze byłoby pięć lat gułagu niż rok mieszkania we wspólnym mieszkaniu komunalnym! – mówi profesor, a ja widzę, że dotknęłam bolesnego tematu.

Ojciec, mimo choroby, jeszcze zdołał uruchomić w Bydgoszczy liceum dla pracujących (wojna spowodowała, że wiele osób musiało uzupełniać przerwana naukę). Kiedy już nie dał rady uczyć – jako historyk znalazł pracę w miejskim archiwum, aby po paru latach odejść na rentę. Utrzymanie domu, wychowanie dwojga dzieci (w 1946 roku urodziła się Zofia) spadło na mamę. Pracowała w I Liceum Ogólnokształcącym im. Ludwika Waryńskiego (wówczas) i tam, w jednym miejscu, dotrwała do emerytury.

– A co z mieszkaniem? – chcę się dowiedzieć.

– Długo na żadną odmianę nie było szans! – słyszę. – Dopiero na początku lat 60. (już siostra się wyprowadziła, a ja wcześniej też) udało się mamie te dwa pokoje w centrum zamienić na samodzielną garsonierę na obrzeżach miasta. Ale niedługo tam mieszkała. Zachorowała, przed śmiercią była w Rzeszowie, u siostry, która jest lekarką – alergologiem. Kiedy mama zmarła w 1975 roku (zdrowie odebrała jej wojna), przyszło na jej pogrzeb wielu dawnych uczniów. Do dzisiaj niektórzy z nich opiekują się grobem rodziców – mówi profesor i już mi się wydaje, że opuścimy Bydgoszcz, a tu słyszę:

– Są miasta, które po wojnie cywilizacyjnie zyskały. Choćby Lublin, gdzie nie było kanalizacji i Lublin cuchnęła na odległość, a dzisiaj jest tam czysto i ładnie. Z Bydgoszczą na odwrót. Mia-

sto było wtedy w Polsce kawałkiem Europy, a teraz wygląda jak skansen PRL-u.

## ZAKOPANE

Andrzej Staruszkiewicz spędził tam sześć lat. W sanatorium, potem w prewentorium. Choroba dopadła dziecko w czasie wojennej wędrówki razem z matką przez linie frontu, do Bydgoszczy. Długo nie dawało się go wyleczyć, w czym niestety „pomógł” jeden nieodpowiedzialny lekarz. Z tej racji profesor do dziś nie ufa lekarzom i korzysta z ich pomocy tylko wtedy, gdy już nie ma innego wyjścia.

Kiedy Andrzej Staruszkiewicz pojechał do Zakopanego, był uczniem czwartej klasy, ale młodszym o całe dwa lata od swoich kolegów, bo ojciec, wiedząc o swojej chorobie, posłał syna w wieku sześciu lat od razu do drugiej klasy. A kiedy stamtąd wrócił do domu w Bydgoszczy, zaczął naukę w dziesiątej klasie liceum ogólnokształcącego. Jego powrót o trzy miesiące wyprzedził śmierć ojca.

Zakopane wspomina dwójako. Z jednej strony, rozstanie z rodzicami i siostrą było smutne, coś ważnego mu z dzieciństwa odebrało.

Ale z drugiej strony, konieczność bycia w grupie rówieśników przysporzyła doświadczeń, których by inaczej pewnie nie zdobył. Do prewentorium zapraszano różne ważne osoby, które odwiedzały Zakopane. Najwyraźniej władze uważały, że mają czym się pochwalić. Razu jednego, z wielką pompą, powitano radziecką panią profesor od edukacji specjalnej, która mówiła długo i kwieciste po rosyjsku, aż oni, znużeni, zaczęli szeptać między sobą. Dostało się za to od dostojnego gościa wychowawcom, że nie potrafią nauczyć dzieci kultury! Kiedy indziej przyszedł ich odwiedzić zakopiański komunista, towarzysz Kogutek (był uczestnikiem wojny domowej w Hiszpanii). Kiedy usłyszał, że jest wśród nich syn greckich komunistów, wprost wpadł w ekstazę i zaczął nagle, ni stąd ni zowąd, deklamować Homera po grecku! Profesor (po chwili zastanowienia) nie potrafił powiedzieć, czy był to na pewno Homer, ale wrażenie odniósł wtedy dziwaczne. Pojawił się także angielski pisarz komunistyczny Jack Lindsay. Nie wiadomo, dlaczego Andrzej Staruszkiewicz uważał, że sławny angielski pisarz powinien być wysoki, szczupły i elegancko ubrany. Tymczasem Jack Lindsay był niski, krępy i miał buty w fatalnym stanie.

– Ja na ogół nie przywiązuję wagi do ubioru – mówi profesor. – Zresztą sam ubieram się w sposób, który moja rodzina uważa za pozostawiający sporo do życzenia, ale buty Jacka Lindsaya były w tak oplakany stan, że zwróciło to moją uwagę.

## KRAKÓW I

Mama kończyła studia na Uniwersytecie Jagiellońskim. W Krakowie po wojnie zamieszkała siostra ojca, Oktawia (wspomniana wcześniej Tawcia), żona lekarza Jana Rossa, sama też po medycynie.

Kiedy po maturze w 1956 roku Andrzej Staruszkiewicz miał, przy pomocy najbliższych, dokonać wyboru uczelni – padło właśnie na Kraków. Zwłaszcza mama była zwolenniczką tego kierunku peregrynacji za wiedzą.

– Tawcia jest na miejscu, będę o ciebie spokojniejsza – powiedziała synowi.

A ciocia, trzeba przyznać, starała się nie zawieść pokładanego w niej zaufania. Te starania przybrały kształt cotygodniowych kolacji, na jakie był zapraszany bratanek.

– Trudno było to zjeść, co dla mnie specjalnie przygotowywała gosposia i kucharka w jednej osobie – mówi profesor, kiedy mu te rodzinne kolacje się przypominają.

Ale Kraków dla niego to nie życie rodzinne, nie życie studenckie („nigdy nie byłem w kabarecie Piwnica pod Baranami”), Kraków to przygoda na całe życie, co tu mówić przygoda! Raczej zmaganie. Kto – kogo, czy też raczej: na ile uda się w czasie jednego ludzkiego życia wdrzeć za szczelnie zaryglowane drzwi prowadzące do rozwiązania paru zagadek związanych z urządzeniem Wszechświata.

Trudno powiedzieć, kiedy dokładnie ta naukowa przy-

goda Andrzeja Staruszkiewicza się rozpoczęła. Ale jakiś początek wyznaczyć trzeba, a więc niech to będzie temat pracy magisterskiej. Brzmiał tak: *Rozwój poglądów na prawa zachowania energii i pędu w ogólnej teorii względności*. Sformułował go prof. Jan Weysenhoff, fizyk-teoretyk, wtedy już na emeryturze. Weysenhoff to było wtedy w fizyce teoretycznej duże nazwisko, przed pierwszą wojną znali się z Einsteinem, który potem cytował w swoich pracach nigdzie nieopublikowaną pracę doktorską Weysenhoffa.

– Był to dobry temat? – pytam.

– Fizyka teoretyczna jest rzemiosłem, którego student musi się nauczyć. Najlepiej, aby w pracy magisterskiej wykonał kilkadziesiąt stron rachunków. Natomiast ja otrzymałem temat nie do liczenia, a historyczny. Ale problem, którego dotyczył, jest fundamentalnie ważny i po dziś dzień nierozwiązany. Dotąd nie wiemy, jak układać bilans energii, jeśli do układu wchodzi pole grawitacyjne. I z tego punktu widzenia temat był dobry, bo pozwolił młodemu człowiekowi zetknąć się z realną trudnością naukową. I to taką, której nie podołali nawet najwięksi fizycy, wśród nich sam Einstein – słyszę.

– W czasie pisania konsultowałem Pan z prof. Weysenhoffem kolejne etapy pracy? – pytam dalej.

– Usłyszałem, abym przyszedł, jak skończę, co znaczyło, żebym mu głowy nie zawracał. I uważam, że było to dobre, a nawet najlepsze z możliwych postawienie sprawy! – mówi na to profesor.

## LES HOUCHES

– W wieku 21. lat został Pan magistrem fizyki. A już w dwa lata później – doktorem. Szybko! Dzisiaj doktoraty robi się po trzydziestce... – zaczynam, a profesor kończy:



Rektor UJ prof. Karol Musiol oraz prof. Andrzej Staruszkiewicz podczas uroczystości nadania mu godności profesora honorowego UJ; Collegium Maius, 18 listopada 2009 r.

A. Wojnar

–... i to nie jest dobrze. Początek mojej drogi naukowej był taki, że każdemu bym tego życzył. Zostałem asystentem prof. Jerzego Rayskiego, który objął zakład fizyki teoretycznej po prof. Janie Weysenhoffie i zupełnie go nie interesowało, co ja robię. Obecnie młody człowiek odbywa najpierw staż, potem musi znaleźć promotora, do którego zostaje przypisany, i wtedy dopiero rozpoczyna studia doktoranckie, a dokładnie – kiedy ten promotor podpisze cyrograf, że go wypromuje. Ten system, praktykowany na całym świecie, zmierza ku katastrofie w nauce!

– Co w nim jest takie złe? – pytam.

– Wszystko jest złe! Einstein zrobił naukową karierę, bo, jak wiadomo, dostał pracę w urzędzie patentowym, w którym nie miał nic do roboty. I tak powinna wyglądać droga naukowa. Oczywiście, nie każdy jest Einsteinem, większość ludzi potrafi rozwiązywać problemy tylko w określonej skali. Kiedy jeszcze studiowałem fizykę, wpadła mi w ręce rozprawa Kartezjusza *Prawidła kierowania umysłem*. Książka ta, z którą po dziś dzień się nie rozstaje, dosłownie zmieniła moje życie. Kartezjusz pisze tak: nie jest ważne, co mówią inni, czego nauczają, dla mnie ważne jest, abym ja to przemyślał, zrozumiał i wiedział. To, że ktoś inny coś rozumie, wcale nie zwiększa mojego rozumienia problemu – mówi profesor, a po tych słowach przechodzi do szczegółów związanych ze swoim wczesnym doktoratem. Dzisiaj pewnie by go wcale nie napisał. Bo młody człowiek musi rozpocząć swoje myślenie o pracy doktorskiej od tego, czy ktoś na świecie już podobnego tematu nie podjął, bo jeśli tak, to jego praca nie będzie oryginalna, a taką ma być. Tymczasem jego samego wcale nie obchodziło, czy to, co napisał, jest oryginalne, czy nie, ważne było, że zrozumiał problem, którego wcześniej nie rozumiał. Tu tkwi różnica.

Otóż miał lat 23. W dwa tygodnie napisał pracę (sześć stron maszynopisu) o trójwymiarowej grawitacji, nie myśląc wcale, że będzie to temat jego pracy doktorskiej. Andrzej Białas, starszy kolega, fizyk, wtedy akurat, w 1963 roku, brał udział w zajęciach Letniej Szkoły w Les Houches, gdzie zreferował tę niewielką pracę Andrzeja Staruszkiewicza. I ona tam bardzo spodobała się uczestnikom. Pochwalili ją nawet sam John Archibald Wheeler (wybitny fizyk, wtedy profesor Uniwersytetu w Princeton, uczestnik prac nad bombą atomową, doradca kilku prezydentów USA), i to się rozniosło. A więc, jeśli tak się stało, jak się stało, to nie pozostawało nic innego zrobić, jak te sześć stroniczek „rozwodnić”. Promotorem pracy doktorskiej został prof. Jerzy Rayski, a jednym z recenzentów – prof. Weysenhoff. To, co prof. Staruszkiewicz wtedy, jako bardzo młody człowiek, napisał o trójwymiarowej grawitacji, jest po dziś dzień jego najbardziej znaną w świecie pracą. Cytowaną przez wielu znanych fizyków, w tym laureata Nagrody Nobla Holendra Gerardusa 't Hoofta.

## WARSZAWA

– W wymiarze światowym Polska jest prowincją... – zaczyna profesor.

– Pełną niezdrowych kompleksów! – dopowiadam.

– Kiedy Helena Modrzejewska grała w Krakowie, była krytykowana, a to za dykcję, a to za urodę. Dopiero kiedy odniosła sukces w Ameryce, podniosły się głosy zachwyty. Pozytywna opinia o mojej pracy ze strony wielkiego Wheelera sprawiła, że zaprosił mnie do siebie prof. Leopold Infeld, który od 1938 roku był profesorem fizyki na Uniwersytecie w Toronto oraz – jeszcze przed wojną – współpracował z Einsteinem w Institute for Advanced Study

w Princeton. W 1947 roku ukazała się ich wspólna książka *Ewolucja fizyki*, międzynarodowy bestseller (miała ponad 200 wydań). Ale jej współautor, Leopold Infeld (urodzony w Krakowie, w rodzinie żydowskich kupców, wykształcony na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie doktoryzował się u prof. Władysława Natansona), został w Kanadzie niesłusznie oskarżony o współpracę z komunistami oraz przekazanie im nuklearnych tajemnic. Było to oskarżenie absurdalne, bo Infeld nie miał niczego wspólnego z pracami nad bombą atomową, ale i tak musiał ten kraj opuścić. W 1950 roku wrócił do Polski i otrzymał stanowisko dyrektora Instytutu Fizyki Teoretycznej na Uniwersytecie Warszawskim – słyszę.

– Jak na naszą, polską prowincję było to zapewne wydarzenie niebywale – zwracam się do prof. Staruszkiewicza, który kiwa głową; tak istotne było.

– Infeld miał podobno w swoim gabinecie na biurku bezpośredni telefon do Komitetu Centralnego PZPR, co nawet z dzisiejszej perspektywy jest czymś niezwykłym! Słowo Infelda torowało wszystkie drogi. On, wielki fizyk, który mógł pracować wszędzie na świecie, jednak wybrał socjalistyczną ojczyznę! – mówi profesor i rozumiemy się doskonale, bo ja tamte minione (na szczęście!) czasy pamiętam.

– A jak czuł się prof. Infeld w marcu i następnych miesiącach 1968 roku? – pytam prof. Staruszkiewicza.

– Zmarł 15 stycznia 1968 roku – odpowiada.

## SYRACUSE

– To dzięki prof. Infeldowi wyjechał Pan na rok do prof. Petera Gabriela Bergmana, na uniwersytet w Syracuse, w stanie Nowy Jork? – pytam.

– Tak, byłem tam w roku akademickim 1965/1966. Może w sensie naukowym ten wyjazd dał mi nie tak wiele, ale pod innymi względami bardzo dużo! – słyszę.

No to zacznijmy od tych innych względów. Po wysłuchaniu relacji z podróży do Włoch w 1983 roku z góry wiem, że profesor ani wtedy, w czasie pobytu w Syracuse, ani w czasie następnych zagranicznych wyjazdów (Instytut Maxa Plancka, 1975 rok, oraz łącznie dwa lata spędzone na uniwersytecie stanowym w Południowej Karolinie) krajoznawczych podróży nie odbywał, nie zwiedzał galerii obrazów. Te inne względy to – najprościej mówiąc – sprawy bytowe. W tamtych czasach pensja pracownika naukowego nie pozwalała nawet marzyć o kupnie mieszkania. Zagraniczne stypendium (dzięki ówczesnej sile dolara) – jak najbardziej. A więc po powrocie z USA Andrzej Staruszkiewicz mógł kupić w Peweksie garsonierę. 8 marca 1968 roku wziął ślub z Anną Jerzykowską, koleżanką siostry ze studiów medycznych, która w pracy zawodowej specjalizuje się w analityce lekarskiej.

– Gdzie się odbyło przyjęcie weselne? – pytam.

– W tej garsonierze przy ulicy Czarnowiejskiej w Krakowie.

– Ile osób przyszło?

– Cała grupa studencka mojej żony, ponad dwadzieścia osób!

– Były tańce?

– Tak.

– Czy w kilka lat później stanęło tam dziecinne łóżeczko waszej córeczki Joasi?

– Już nie tam, a w nowym, większym mieszkaniu, które zresztą kupiłem też z pieniędzy zarobionych w USA – słyszę.

I na tym wątek „innych względów” kończymy, a zaczynamy następny.

– Nic Pan przez rok pobytu w Syracuse nie napisał? – pytam.

– Będąc tam, opublikowałem trzy prace. Ale już wtedy zacząłem myśleć o stałej struktury subtelnej.

– Co to takiego?

– W fizyce – słyszę – istnieją tzw. podstawowe stałe przyrody. Zalicza się do nich między innymi prędkość światła  $c$ , stała Plancka  $h$ , stała Newtona  $G$ , ładunek elementarny  $e$ . Wszystkie wielkości fizyczne są podawane numerycznie, zawsze z pewnym wymiarem. Na przykład promień Ziemi ma w zaokrągleniu 6370 kilometrów. Natomiast jeżeli prędkość światła  $c$  pomnożymy przez stałą Plancka  $h$  i podzielimy przez kwadrat ładunku elektrycznego  $e$ , to otrzymamy liczbę 137,03 i jeszcze parę miejsc po przecinku, stałą struktury subtelnej, która nie ma jednostki. Rozumie Pani? Promień Ziemi podajemy w kilometrach. A stała struktury subtelnej równa się 137 zawsze, jakich by jednostek nie używać. Dlaczego? Ten dotąd nierozwiązany problem Einstein objaśniał, odwołując się do Boga. Pytał: czemu Bóg zrobił tak, że ta stała równa się 137, a nie na przykład 150 albo 200? – mówi profesor.

– Koniecznie musimy się dowiedzieć, dlaczego tak jest? – pytam.

Profesor: – Trzeba to wyjaśnić.

Ja: – A nie można uwierzyć i o nic więcej nie pytać?

Profesor: – To jest jedna z odpowiedzi. Stała struktury subtelnej równa się 137, bo Bóg tak chciał. Ale wielu ludzi, poczynając od Einsteina, taka odpowiedź nie zadawała. Jego intuicja, a ponadto intuicja badawcza najwybitniejszych fizyków – Diraca, Pauliego, Heisenberga – podpowiada, że istnieją ważne powody, dla których ta stała jest taka, a nie inna. Cała moja praca naukowa polega na szukaniu tych powodów. Nie wiem, czy ją skończę, czy te powody znajdę.

Ja: – A jest Pan pewien, że Bóg chciał, abyśmy to wiedzieli?

Profesor: – Intuicja podpowiada mi, że nie tylko chciał. On zaszczyił w nas imperatyw kategoryczny, że powinniśmy to wyjaśnić.

Ja: – Czy możliwości ludzkiego rozumu wystarczają, aby człowiek był w stanie wyjaśnić intencje Boga?

Profesor: – Zna Pani takie powiedzenie Einsteina, że Bóg nie jest złośliwy? Gdyby Bóg był złośliwy, dobrałyby tę stałą tak, że człowiek nie byłby w stanie Jego motywów zrozumieć. Ale Bóg nie jest złośliwy, tylko widocznie nie miał innego wyboru przy tworzeniu świata. A to oznacza, że musi istnieć zasada, która tę liczbę identyfikuje. Zdaję sobie sprawę z tego, że takie rozumowanie stanowi artykuł wiary niesłychanie ryzykownej. To jest obstawianie możliwości jednej przeciwko nieskończeniu wielu.

Ja: – I o tym Pan pisał w tych trzech artykułach opublikowanych w czasie pobytu w Syracuse?

Profesor: – Nie, te prace nie dotyczyły bezpośrednio stałej struktury subtelnej. Ale już wtedy zacząłem w swoich książkach gromadzić różne rzeczy na 137. stronie. I dotąd to się nie zmieniło.

– Pana praca habilitacyjna *Wstęp do relatywistycznej mechaniki analitycznej* została napisana w 1971 roku... – zaczynam, a profesor Staruszkiewicz kończy:

– ...ale potem długo, prawie dwa lata, leżała u recenzentów. Byli nimi prof. Jerzy Rayski z Krakowa oraz dwaj profesorowie z Uniwersytetu Warszawskiego: Iwo Białynicki-Birula i Jerzy Plebański. Ten ostatni zwlekał, zwlekał, aż mnie wezwał do siebie i powiedział tak:

– Panie Andrzeju, dlaczego człowiek o pańskich zdolnościach zajmuje się takimi głupstwami? To, co pan zrobił, nie ma zastosowania, świat nie jest taki, jak pan pisze.

– I co Pan odpowiedział?

– Widzi Pani, fizyka zaczęła się od Newtona, który podał matematyczny sposób opisu takiego układu, jakim jest Układ Słoneczny. W tym układzie jest kilka ciał punktowych, które się wzajemnie przyciągają. Na jakiej zasadzie przewidzieć ich ruch? Na tym polega mechanika nieba, która jest pierwowzorem całej mechaniki klasycznej, a w pewnym stopniu także całej fizyki teoretycznej. Tymczasem w tzw. szczególnej teorii



Pierwsze gratulacje profesorowi honorowemu UJ Andrzejowi Staruszkiewiczowi składali rektor oraz prorektorzy UJ

względności struktura czasoprzestrzeni uniemożliwia tego typu opis ruchu i zmusza fizykę do poszukiwania innych schematów opisu ruchu. Postanowiłem tę trudność rozwiązać. Aby to zrobić, należało stworzyć schemat mechaniki relatywistycznej i ja go opisałem w swojej pracy. Fizyka, wbrew słowom prof. Jerzego Plebańskiego, to jest rodzaj sztuki, pewne rzeczy trzeba umieć zrobić niezależnie od tego, czy one znajdują zastosowanie, czy nie. Ja, robiąc je, miałem na względzie motywację, o której Plebańskiemu nie powiedziałem, bo chyba istotnie uznałby mnie za wariata... – słyszę.

– Czego mu Pan nie powiedział? – pytam.

– Tego, że moją rzeczywistą motywacją poszukiwań była liczba 137.

Już dalej nie pytam, czy gdyby recenzenci to wiedzieli, oceniliby jego rozprawę habilitacyjną inaczej? Być może... A tak – Jerzy Plebański nie krył sceptycyzmu, chłodne recenzje napisali także Iwo Białynicki-Birula i nawet Jerzy Rayski, bezpośredni szef i promotor pracy doktorskiej Andrzeja Staruszkiewicza. Ten brak entuzjizmu czytało się między wierszami (a tak się czyta wszystkie recenzje), a więc kandydat na doktora habilitowanego bez większej nadziei czekał, co to będzie, kiedy podobną w tonie opinię doda od siebie tajny superrecenzent, powołany przez Centralną Komisję. A tu niespodzianka! Nie dość, że ta czwarta recenzja była entuzjastyczna, to na dodatek – co się rzadko zdarza – superrecenzent ujawnił się z nazwiska i zaprosił Andrzeja Staruszkiewicza do siebie, na Uniwersytet Wrocławski, aby tam zreferował swoją pracę. Jego zdaniem najlepszą, jaką dotąd recenzował.

– A kim był ten superrecenzent?

– To był bardzo wybitny fizyk teoretyk prof. Jan Łopuszański, z rodziny lwowskiej, niezwykle zasłużonej dla kultury polskiej – mówi profesor, a ja myślę, jak to w ważnym dla siebie momencie życia („już myślałem, co będę robił, jeśli habilitacji nie uzyskam i odejdę z pracy na uczelni”) lwowiak z poczucia przynależności do tego miasta (Staruszkiewicz) spotkał lwowiaka z urodzenia (Łopuszańskiego)...

W tym samym 1973 roku za esej o efektach retardacji w układzie planetarnym Andrzej Staruszkiewicz otrzymał trzecią nagrodę w prestiżowym konkursie Gravity Research Foundation. Ten esej to było pokłosie habilitacji, zawierał między innymi wyjaśnienie tego, co zakładamy *implicite*, obliczając poprawki relatywistyczne do ruchu planet.

## KRAKÓW II

– Wszystko, co się nam w życiu przytrafia, to są przypadki. Nasze rozmowy to też przypadek... – zaczyna profesor, a ja kończę:

– ...ale czasami do ludzkiego życia wkracza nie przypadek, a polityka, przed którą trudno uciec, gdzieś każdego dopadnie. Należał Pan do pierwszej „Solidarności”? – pytam.

– Nie. Miałem wrażenie, że „Solidarność” nie ma jasności co do swoich celów, a ponadto związek zawodowy na uczelni to też niedobry pomysł.

Ale ta postawa – to jedno, a rzeczywistość – to już zupełnie co innego. Kiedy 13 grudnia 1981 roku generał w ciemnych okularach ogłosił początek stanu wojennego na całym obszarze PRL-u, prof. Staruszkiewicz (z wyboru) pełnił funkcję dyrektora Instytutu Fizyki.

– Zaskoczę Panią, ale stan wojenny zapamiętałem nie tylko jako czas ponury, ale też od strony zabawnej!

Dalej opowieść zabawna (ponure opowieści znamy aż za dobrze!) rozwija się tak:

– Moim zastępcą do spraw administracyjnych był członek partii, ale dla mnie bardzo uczynny. Zaraz w pierwszych dniach stanu wojennego załatwił mi przepustkę upoważniającą do poruszania się po mieście po godzinie milicyjnej. Moim i prof. Andrzeja Białasa studentem był kiedyś Mirosław Dzielski (już nie żyje), założyciel Krakowskiego Towarzystwa Przemysłowego, który wydawał wtedy kolacje dla członków i sympatyków Towarzystwa (bardzo smaczne jedzenie i dyskusja do późna). U Dzielskiego poznałem kilku ludzi, którzy później istotnie zaistnieli w polityce. Utwierdzili mnie oni w przekonaniu, że „Solidarność” nie ma koncepcji na zmianę ustroju. Wracając z tych kolacji, spotykałem milicyjno-partyjne patrole, a że bardzo chciałem im pokazać tę przepustkę – szedłem prosto na nich. I ani razu wylegitymowany nie zostałem! Oni na mój widok albo przechodzili na drugą stronę ulicy, albo mnie z daleka omijali. Ale zabawniejszy od tych uników patroli był major milicji w zarękawkach...

– Major w zarękawkach? – pytam.

– Aresztowano dwóch naszych działaczy „Solidarności”, jednym z nich był dr Paweł Gizbert-Studnicki. Jako dyrektor Instytutu pojechałem do Wojewódzkiej Komendy MO przy ulicy Mogiłskiej, aby podjąć w jego sprawie interwencję. Przekraczając bramę, podałem powód.

– Pójdzie pan do majora takiego a takiego! – usłyszałem i od razu przygotowałem się w duchu na spotkanie z jakąś groźną figurą utożsamiającą tamten system. Wchodzę do wskazanego gabinetu,

a tu zza biurka podnosi się szczupły, drobniutki mężczyzna ubrany po cywilnemu, a na dodatek przyodziany w zarękawki. To mnie zupełnie rozbroiło, cała moja „para” nagle się ulotniła – mówi profesor.

– Uszyte z błyszczącej podszewki, takie pokrowce na gumkach, które zakładali galicyjscy urzędnicy za C.K. Austrii, aby nie wycierać rękawów marynarki? – upewniam się i już mam przed oczami majora w zarękawkach, jak w tym stroju broni racji ustroju socjalistycznego oraz naszych sojuszy obronnych. No śliczne! I tak mnie ta wizja rozbawiła, że nie zadałam pytania o rezultat odwiedzin, ale profesor o tym nie zapomina i mówi:

– Podpisałem poręczenie za dr. Gizberta-Studnickiego („zarzuty są bardzo poważne” – tak major w zarękawkach komentował jego przypadek) i obaj nasi pracownicy zostali zwolnieni.

Po okresie kierowania instytutem przyszedł dla profesora czas na sprawowanie funkcji dziekana Wydziału Matematyki i Fizyki, w latach 1984–1987. Zaraz potem prof. Staruszkiewicz (bez entuzjazmu, funkcje zabierają czas, który można poświęcić na pracę naukową) został wybrany na delegata Wydziału do Senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego. Też na trzy lata.

## CASTEL GANDOLFO

Do udziału w seminariach organizowanych przez prof. Jerzego Janika w letniej rezydencji papieża Jana Pawła II był prof. Andrzej Staruszkiewicz zapraszany dwukrotnie. Po raz pierwszy pojechał tam w 1998 roku. Tak się złożyło, że wcześniej jakoś nigdy nie znalazł się w otoczeniu Papieża. Idąc na pierwsze spotkanie, miał przed oczami jego obraz utrwalany z lubością przez telewizję (trzęsące się ręce, wyostzone przez chorobę Parkinsona rysy twarzy, starcze przygarbienie), a tymczasem doznał wielkiego zaskoczenia!

– Bo? – pytam.

– Spotkałem człowieka o absolutnej wydolności i jasności umysłu, który mnie natychmiast postawił na baczność! – słyszę.

I dalej opowiada, jak to było z tym postawieniem na baczność, kiedy to w czasie kolacji (posadzono go koło Papieża) gospodarz zapytał, czy on zna Ciesielskiego. Słyszając to pytanie, profesor pomyślał o Słudze Bożym Jerzym Ciesielskim i zaprzeczył.

– Coś takiego! Profesor z Krakowa, a nie zna Ciesielskiego! – skomentował Papież i wtedy dopiero Andrzej Staruszkiewicz uświadomił sobie, o kogo chodzi – o byłego rektora Politechniki Krakowskiej Romana Ciesielskiego. Oczywiście, że go zna. Już nie prostował pomyłki, ale z racji bliskości („trudno siedzieć obok i nic nie mówić”) zapytał o możliwość pojednania między katolikami a prawosławnymi, przecież różnic doktrynalnych między obu kościołami nie ma. Wtedy Papież spojrział na niego ze smutkiem i powiedział:

– Źle to widzę. Za dużo narosło osobistych nieporozumień, niepotrzebnych ambicji, aby je zrozumieć, trzeba cofnąć się w czasie aż do pierwszych wieków chrześcijaństwa. Ten konflikt zaczął się już wtedy. Grecki był językiem Kościoła, a łacina językiem żołnierzy i urzędników. Stąd brała się niechęć „Greków” do łacinników, i ona dalej trwa. I dalej brakuje woli pojednania...

– Dlaczego Papież zapraszał tak wielu fizyków i filozofów? Czego chciał się od nich dowiedzieć? I czy dla poszukiwań przez fizyka naukowej prawdy ma znaczenie, że jest on człowiekiem wierzącym? – pytam profesora.

– W codziennej pracy fizyka jego stosunek do wiary nie ma znaczenia, to jest rzemiosło. Ale patrząc na historię, dostrzegamy,

że zachodnia nauka (a to ona stworzyła naszą potężną cywilizację) wyrasta z chrześcijaństwa. To, że nauka powstała w jego obrębie, nie jest przypadkiem. Izaak Newton był człowiekiem wiary. Kartezjusz też. I inni. Einstein pytany, czy wierzy w Boga osobowego, odpowiadał negatywnie, ale jednocześnie podkreślał, że uważa się za człowieka religijnego. Jak to pogodzić? Otóż Einstein nazywał swojego Boga Bogiem Spinozy i uważał, że świat jest dziełem bezosobowej myśli. Ten świat oglądany oczami fizyka ma pewną własność. Ona polega na tym, że nasze myślenie potrafi ująć rzeczywistość. I tu pojawia się Bóg – osobowy czy bezosobowy – ale Bóg rozumiany jako pierwotna myśl. Nasuwa się odwołanie do fragmentu z Ewangelii św. Jana: *Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga i Bogiem było Słowo*. Papież uważał, że jest to zdanie greckie, niemające tradycji hebrajskiej. Ono też dotyka, proszę zauważyć, podstawowej metody badawczej fizyki. O ile inne nauki posługują się czystą empirią (np. medycyna, biologia, chemia), to fizyka ma składnik aprioryczny. Podstawowa metoda badawcza w fizyce polega na stworzeniu najpierw hipotezy, a potem sprawdzeniu jej w praktyce.

– Co to znaczy postawić hipotezę o rzeczywistości fizycznej? – pytam.

– To jest próba wygrania nie w totolotka, a w coś bez porównania mniej prawdopodobnego. A mimo to ta gra jest wielokrotnie wygrywana!

## RATYZBONA

Wykład wygłoszony przez papieża Benedykta XVI we wrześniu 2006 roku na Uniwersytecie w Ratyzbonie (zdaniem wykładowcy akademickiego prof. Staruszkiewicza – mistrzowski!), który wzbudził taką reakcję w świecie muzułmańskim, dotykał między innymi różnic w rozumieniu wszechmocy Boga chrześcijan i muzułmanów. Pewnie w ogóle profesor by o tym wykładzie nie wspominał, gdyby słowa papieża tak jasno nie tłumaczyły różnic w podejściu do roli nauki w obu wielkich religiach monoteistycznych.

Tysiąc lat temu nauka arabska była o wiele bardziej zaawansowana niż europejska. To się nagle skończyło. Prawdopodobnie pod wpływem teologów islamskich, którzy głosili absolutną wszechmoc Boga. On może wszystko, może zawiesić prawa przyrody, jest całkowicie transcendentny wobec świata, kapryśny i nieprzewidywalny, zawsze jest w stanie zrobić, co zechce. Taka idea Boga jest zabójcza dla nauki. Bo jeśli uznamy, że Bóg jest na taki właśnie sposób wszechmocny, to wszelka próba zrozumienia świata nie ma sensu. Po co mamy wkładać wysiłek w znalezienie praw, które kapryśny Bóg wywróci, jeśli zechce! Dociekanie tego, jak zbudowany jest Wszechświat, ma sens tylko dlatego, że Bóg chrześcijaństwa jest Bogiem rozumnym, który nigdy nie zmienia swoich decyzji. Jeśli powstała myśl – to ona już taka pozostanie.

Nazwisko Stevena Weinberga (profesora fizyki na Uniwersytecie w Massachusetts, Uniwersytecie Harvarda w Cambridge, obecnie na Uniwersytecie Stanowym w Austin, w Teksasie, laureata nagrody Nobla z 1979 roku, autora książki o powstaniu wszechświata *Pierwsze trzy minuty*) prof. Staruszkiewicz wymienia dlatego, że jego dokonania są ogromne, autorytet

w świecie także. A więc jeśli on nie protestuje, a wręcz lekko sympatyzuje z ideą Multiverse – to jest to dla nauki niebezpieczne. Bo wielki fizyk nie powinien podpisywać się pod herezję. Gdyby Einstein mógł ożyć i usłyszeć, co głosi obecnie wpływowa grupa fizyków amerykańskich, to być może z powrotem położyłby się do grobu!

– A to czemu? – pytam.

Chociaż nie studiowałam fizyki, mam nadzieję, że wyjaśnienia profesora zrozumie. On rok w rok wygrywał wszystkie rankingi na

najlepszego wykładowcę na Wydziale Fizyki. Od tych, którzy go słuchali, wiem, że wykładając, nie posługiwał się nigdy pisanim tekstem ani książkami, swoją pasją wprost „zarażał” słuchaczy! W uznaniu mistrzostwa dydaktycznego w 2003 roku rektor UJ wręczył mu nagrodę Pro Arte Docendi. A 18 listopada 2009 roku otrzymał tytuł profesora honorowego, który jest przyznawany wybitnym naukowcom, którzy z racji doktoryzowania się na UJ nie mogą zostać doktorami *honoris causa* tej uczelni.

– Fizycy ci dostrzegają – słyszę – że nasz świat jest specyficzny, ale to, że on w swojej konstrukcji zawiera myśl, jest według nich tylko złudzeniem. We Wszechświecie istnieje wiele światów równoległych, odmiennych od naszego. Jeżeli w tych odmiennych światach prawa przyrody nie pozwalają na powstanie życia, to ono nie powstaje i dlatego nikt nie zastanawia się, dlaczego nasz świat jest taki, jaki jest. Złudzenie, że zanim on powstał, istniała myśl, bierze się stąd, że za tę myśl bierze się przypadek. Bo z czysto przypadkowych powodów powstało w naszym świecie najpierw życie, potem cywilizacja, kultura, nauka, którą tworzą ludzie na tyle szeroko myślący, że zadają pytanie, czemu nasz świat jest taki, a nie inny. A wystarczyłoby niewiele zmienić w budowie Wszechświata, a już życie nie mogłoby się rozwinąć. I właśnie ci fizycy są twórcami koncepcji Multiverse – wielości światów, jaka powstała w opozycji do Universe, jednego świata. Koncepcji, która mówi wprost, że jeśli to, co się stało, stało się przypadkiem, to zastanawianie się, dlaczego takim przypadkiem, a nie innym, jest stratą czasu.

– Czy gdyby Pan skłaniał się do przyjęcia za prawdziwą koncepcji Multiverse, to nadal szukałby Pan zasady, z jakiej powinna wynikać liczba 137?

– Oczywiście że nie, bo wtedy to by nie miało sensu!

*Elżbieta Dziwisz*



Wiązanek kwiatów wręczają profesorowi studenci z Zespołu Pieśni i Tańca UJ „Słowianki”

A. Wojnar